

Andrzej Krajewski

Meldunki, które zaczęły spływać do Departamentu II MSW wieczorem 30 stycznia 1968 r. były więcej niż niepokojące. Niedługo po zmierzchu tłumy Warszawiaków otoczyły Teatr Narodowy. Zebrani chcieli się dostać na ostatnie przedstawienie dramatu Adama Mickiewicza „Dziady”. Na widowni było jedynie 900 miejsc, a bilety dawno wyprzedano, jednak ludzie nie przyjmowali tego do wiadomości. „Gdzieś koło godziny 19-ej, kiedy stało się jasne, że bileterzy nie powstrzymają napierającego tłumy, zjawiała się milicja” – opisał w raporcie urzędnik Ministerstwa Kultury i Sztuki Jan Siekiera. Jej przybycie wcale nie uspokoiło nastrojów. Nie pomogło też zabarykadowanie wszystkich drzwi wejściowych. Na widok mundurowych zgromadzeni ruszyli do szturmowania. Po walce wręcz z milicjantami i bileterami ponad 400 osób wdarło się do gmachu. Wedle oceny II Departamentu jakieś 115 osób przebiło się na wypełnioną po brzegi widownię. Stamtąd już nikt nie miał śmiałości usunąć ich siłą.

Wedle doniesień konfidentów Służby Bezpieczeństwa, gdy kurtyna poszła w górę, zapanała głucha cisza. Widzowie łowili każde słowo aktorów, choć „Dziady” jako lektura szkolna powinny być im dobrze znane. Atmosfera zrobiła się gorąca dopiero podczas scen w Salonie Warszawskim. Po takich frazach, jak: „Bo teraz Polska żyje, kwitnie w ziemi cieniach, / Jej dzieje na Sybirze, w twierdzach i więzieniach”, wybuchały burzliwe owacje. Łącznie odnotowano ich aż 12. Potem jeszcze było sześć owacji na stojąco podczas Balu u Senatora. „Żywiłowo i długo oklaskiwano nie tylko partie tekstu, w których Mickiewicz poddawał ocenie konkretne wydarzenia polityczne sprzed półtora wieku, ale nawet fragmenty dotyczące historycznego sporu klasyków z romantykami” – raportował Jan Siekiera.

Kiedy opadła kurtyna, widzowie klaskali przez bardzo długie dla reżimu 10 minut. Młodzi zaś ludzie zaczęli nagłe skandować: „Niepodległość bez cenzury!”. W tym samym czasie przed Teatrem Narodowym trójka studentów PWST: Andrzej Seweryn, Ryszard Peryt i Małgorzata Dziwulska rozwinęli transparent: „Żądamy więcej przedstawień »Dziadów«”. Natychmiast zebrali się przy nich ponad 300 osób, po czym pomaszerowali z transparentem Krakowskim Przedmieściem w kierunku pomnika Mickiewicza. „Na rogu Trębackiej zostaliśmy zatrzymani przez milicję. Jakis oficer wezwał nas do rozejścia się” – wspominał w nagraniu dla Polskiego Radia w 2010 r. Andrzej Seweryn. „Ja wtedy w młodzięcym zapale wszedłem na podwyższenie i zawołałem do tłumy: »Koleddy, Koleżanki, osiągnęliśmy nasz cel. Możemy się już rozejść!«. Część poszła pod pomnik, a ja się dałem aresztować” – dodał. Na tych, którzy dotarli z kwiatami pod postument wieszczki, czekał już oddział Milicji Obywatelskiej. Funkcjonariusze natychmiast zabrali się do pałowania miłośników sztuki. Aresztowano 35 osób, które potem trafiły przed kolegią do spraw wykroczeń. Andrzej Seweryn zapamiętał, że podczas posiedzenia kolegium esbecy zeznali, iż widzieli, jak odebrał transparent „z rąk osobników, którzy podjechali mercedesami ze znakami korpusu dyplomatycznego pod Teatr Narodowy”. Tak dramat Adama Mickiewicza schodził 50 lat temu z afiszy, lecz prawdziwa tragedia narodowa miała się wówczas dopiero zacząć.

Wrzenie przed burzą

„Milcząca, ale tajemnicza i mająca dość powodów do niezadowolenia klasa robotnicza, naładowana dynamitem młodzież, rozgoryczone środowiska intelektualne i sfrustrowana nowa klasa średnia, ów rdzeń ludowej władzy, a nad tym wszystkim przerażona, niepełna wszystkiego góra partyjna” – tak prof. Zygmunt Bauman charakteryzował na łamach paryskiej „Kultury” gomułkowską Polskę. „Oto sytuacja, którą wedle wszelkich zasad leninowskiej analizy określić wypada jako rewolucyjną” – podkreślał. Faktycznie w PRL końca lat 60. – choć wydawało się, że Gomułka niepodzielnie dzierży władzę – zaczynało wrzeć. Po dekadzie nazwanej małą stabilizacją skostniałe państwo nadal nie potrafiło zaspokoić aspiracji swoich mieszkańców, poza wąską grupą osób na samych szczytach władzy. Młodzi ludzie z pierwszego pokolenia wychowanego po II wojnie światowej, kończąc studia, nie widzieli żadnych nadziei na lepszą przyszłość. Uwierali ich opresyjność komunistycznego reżimu, podobnie jak brak szansy na karierę bez posiadania wysoko postawionych krewnych.

W gomułkowskiej Polsce bunt musiał w końcu wybuchnąć, lecz nikomu nie przyszło do głowy, że **sprawkuje go przedstawienie przygotowane na 50. rocznicę rewolucji październikowej**

Równie sfrustrowany był cały aparat partyjny średniego szczebla. Mijały lata, a najwyższe stanowiska w PZPR dzierżyły te same osoby. Jedyną szansę, by to zmienić, dawał minister spraw wewnętrznych Mieczysław Moczar. Wprawdzie nie rzucił on otwartego wyzwania Gomułce, lecz sukcesywnie budował własną frakcję w PZPR, odwołując się do haseł patriotycznych i antysemickich. „Kierownictwo Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wyrosło na samodzielny podmiot zdolny do kreowania faktów politycznych, takich jak współtworzenie linii propagandy, ukierunkowanie czystek personalnych” – opisuje Andrzej Friszke w eseju „Miejsce Marca 1968 wśród innych »polskich miesięcy«”.

Sygnal do rozpoczęcia cichej wojny w elicie władzy dał... konflikt na Bliskim Wschodzie. Na początku czerwca 1967 r. Izrael w sześć dni rozgromił koalicję krajów arabskich wspieraną przez Związek Radziecki. Gomułka, wykonując polecenie, jakie otrzymał na Kremlu, 12 czerwca zerwał stosunki dyplomatyczne z Tel Awiwem. Jednocześnie z wielkim niepokojem śledził entuzjazm, jaki ogarnął Polaków po żydowskim triumfie. Klęskę „sowieckich Arabów” świętowały nadzwyczaj solidarnie środowiska twórcze i akademickie, lecz także liczni oficerowie ludowego Wojska Polskiego, a nawet partyjni dygnitarze.

„W związku z tym, że agresja Izraela na kraje arabskie spotkała się z aplauzem w syjonistycznych środowiskach Żydów obywateli polskich, którzy nawet z tej okazji urządzali libacje, pragnę oświadczyć, co następuje: nie czyniliśmy przeszkód obywatelom polskim narodowości żydowskiej w przeniesieniu się do Izraela” – zagrzmiał Gomułka 19 czerwca 1967 r. podczas przemówienia w Sali Kongresowej. Uczestnicy

dzieło Mickiewicza sięgnął, ponieważ chciał zadowolić swych politycznych nadzorców, zarówno z Wydziału Kultury KC PZPR, jak i Ministerstwa Kultury i Sztuki. Ci pierwsi żądali, aby dyrektor Teatru Narodowego zaczął wstawiać dzieła rewolucyjne, pasujące ideowo do linii politycznej partii. Z kolei MKiS domagało się promowania klasyków polskiej literatury.

Kazimierz Dejmek – jak sam przyznawał – „Dziadów” nie lubił, lecz dostrzegł w nich wszelkie potrzebne polityczne atuty. Wieszcz narodowy atakował w dramacie carat, gloryfikując jednocześnie buntowników walczących o wolność. Ta idea początkowo bardzo spodobała się w ministerstwie. Teatr Narodowy otrzymał 5 mln zł dotacji na inscenizację godną rocznicy bolszewickiego przewrotu. Jednak gdy przygotowania do premiery szły pełną parą, polityczna atmosfera w Warszawie robiła się coraz bardziej gęsta. To, że Kozłowski może mieć rację, okazało się pod koniec października. Niespodziewanie Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk przekazał Dejmekowi, iż musi przesunąć premierę z 7 listopada na koniec miesiąca, co oznaczało, że w Narodowym nie zostanie uczczona rocznica ważna dla reżimu. Wiedząc to zupełnie nie przeszkadzało. Pierwszy spektakl, wystawiony 25 listopada, odbył się przy pełnej widowni. Publiczność reagowała bardzo emocjonalnie. „Wszystko, każde słowo, od pewnego momentu przedstawienia, było przez publiczność kwitowane aplauzem. Każde słowo” – wspominał Gustaw Holoubek grający Konrada. Kiedy po scenie finałowej wyszedł na proscenium w kajdanach, dostał wielkie owacje. Kurtyna musiała wędrować w górę 11 razy, nim widzowie się uspokoiłi.

Jedyny taki spektakl

VI Kongresu Związków Zawodowych dowiedzieli się wówczas, że państwo rozprawi się wkrótce z „piątą kolumną”. Wprawdzie zwycięstwo Izraela świętowali równie entuzjastycznie Polacy nieposiadający semickich korzeni, lecz nie miało to już znaczenia. Na biurku towarzysza „Wiesława” lądowały kolejne raporty MSW dowodzące, że w PRL zawiązał się spisek przeciwko partyjnemu kierownictwu. Mieczysław Moczar zręcznie wykorzystywał fobie i sekretaży KC, żeby zainicjować wielką czystkę. Bardzo wiele wysokich stanowisk zajmowali przedwojenni komuniści pochodzenia żydowskiego. Usunięcie ich otwierało drogę awansu dla ludzi szefa MSW.

Przez pierwsze miesiące wymianę kadrową prowadzono po cichu, acz konsekwentnie. Wedle notatki sporządzonej przez I sekretarza Komitetu Warszawskiego PZPR Stanisława Kociołka jedynie w stolicy z kierowniczych stanowisk odwołano 30 osób pochodzenia żydowskiego, a 250 innych czekała wkrótce podobna decyzja. Równie skutecznie działał minister obrony narodowej gen. Wojciech Jaruzelski, pozbywając się semitów z korpusu oficerskiego. „Dalej, głównie w Warszawie, trwa wykańczanie Żydów” – notował w połowie października 1967 r. w dzienniku redaktor naczelny „Polityki” Mieczysław F. Rakowski. Wśród członków partyjnego establishmentu rosło napięcie, bo nikt nikomu nie ufał, a każdy czuł się zagrożony. W takich realiach odzukiwanie się spisku w każdym zbiegu okoliczności stawało się codziennością.

Mickiewicz wiecznie żywy

„To załatuje prowokacją” – oznajmił Kazimierzowi Dejmekowi prezes Polskiego Ośrodka Międzynarodowego Instytutu Teatralnego Bohdan Korzeniewski. Doświadczony reżyser próbował uświadomić młodszemu koledze, że pomysł wystawienia inscenizacji „Dziadów” z okazji 50-lecia rewolucji październikowej jesienią 1967 r. jest wyjątkowo chybiony. „Panu wszystko załatuje prowokacją polityczną” – odparł zirytowany Dejmek. Po

Jedynym, który wychodził całkowicie zniechęcony z teatru, był Zenon Kliszko. Najbliższego współpracownika Gomułki rozdzielił ten fragment sztuki, w którym rosyjski oficer mówi do Bestużewa: „Nie dziw, że nas tu przeklinają, / wszak to już mija wiek, / Jak z Moskwy w Polskę nasyłają / samych łajdaków stek”. To, iż Mickiewicz pisał to ponad sto lat wcześniej, nie miało większego znaczenia. „Uznał (aluzję – przyp. aut.) za adresowaną bezpośrednio do niego” – zapisał w dzienniku Rakowski. Wściekłość członka Biura Politycznego, będącego wówczas drugą osobą w państwie, szybko przyniosła konkretne działania cenzury. Z prasy zniknęły wszystkie recenzje spektaklu. Podobnie stało się z kajdanami Konrada w scenie finałowej. Gustaw Holoubek otrzymał surowy zakaz ich zakładania, o czym natychmiast plotkowała cała Warszawa.

Podczas kolejnego spektaklu oliwy do ognia dołala obecność delegacji pisarzy z ZSRR na widowni. Wracając z Festiwalu Sztuk Rosyjskich i Radzieckich w Katowicach zawitali do Teatru Narodowego. Po przedstawieniu poszli do Dejmki, żeby złożyć mu gratulacje. Tymczasem po stolicy rozniosła się plotka, że sowieckich twórców „Dziady” głęboko oburzyły. Domagali się więc ich zniknięcia z afisza. Potem nastąpił ciąg przypadkowych zdarzeń potwierdzających oszczerstwo. Na 6 grudnia 1967 r. swoje przybycie do Warszawy zaanonsował minister spraw zagranicznych ZSRR Andriej Gromyko. Jednocześnie minister kultury Lucjan Motyka polecił Dejmekowi, żeby Mickiewicza wystawiano tylko raz w tygodniu. Z dnia na dzień stary dramat nabrał niezwykłej aktualności, znów stając się symbolem polskiego oporu przeciw rządowi Moskali. Kto żył, chciał zobaczyć go na własne oczy.

Kłopoty z wieszczem

Dla rządzących cały okres świąteczno-noworoczny upłynął pod znakiem „Dziadów”. Tuż przed Bożym Narodzeniem na posiedzeniu

Biura Politycznego Zenon Kliszko oznajmił, że to, jak reaguje publiczność w Teatrze Narodowym, „stawia pod znakiem zapytania jedną trzecią terytorium naszego kraju”. Chodziło mu o największy z lęków Gomułki obawiającego się, że Sowietci ponad głową Warszawy dojdą do porozumienia z Republiką Federalną Niemiec. Ceną za jej wyjście z NATO mogła być zgoda na zjednoczenie i oddanie polskich Ziemi Zachodnich.

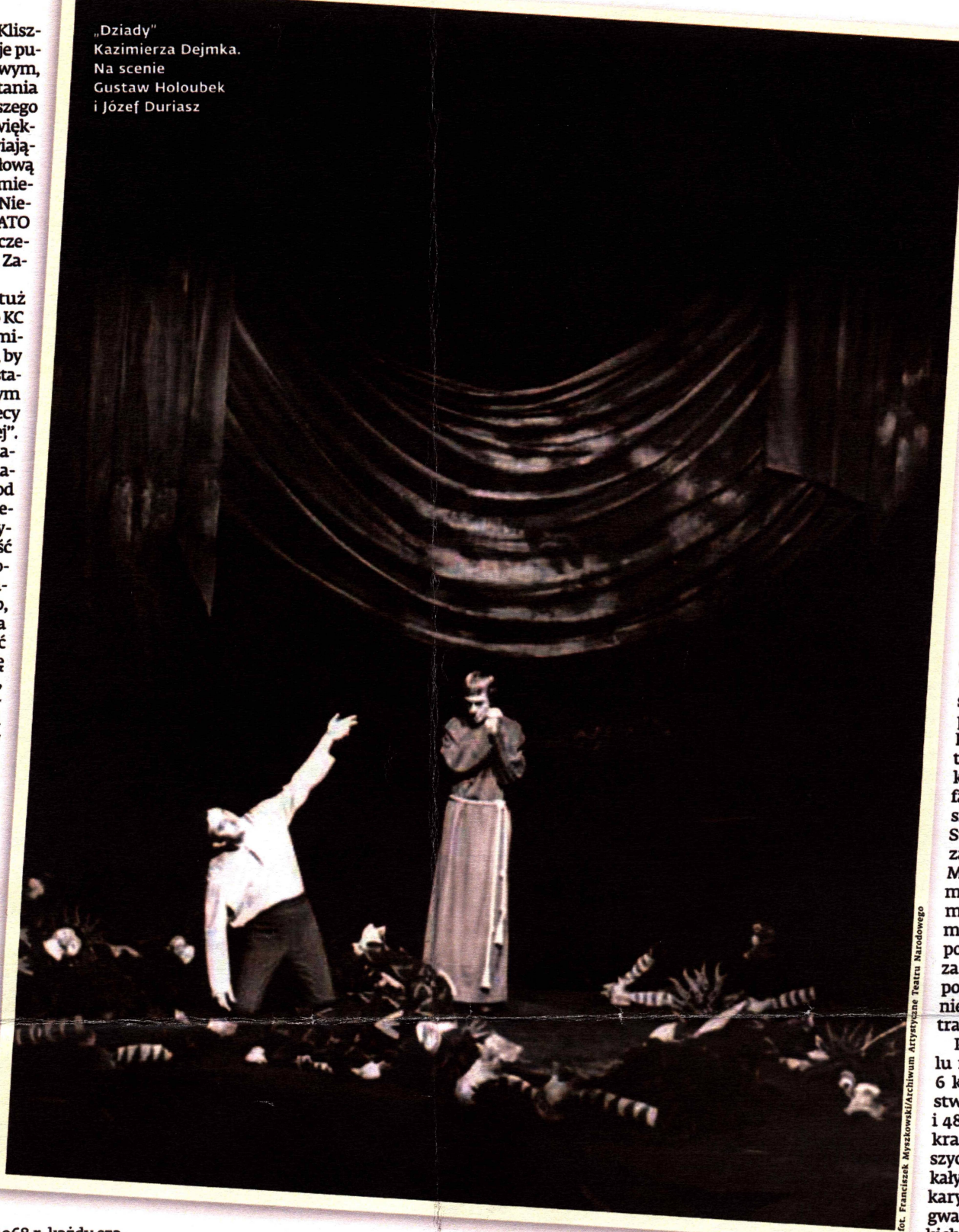
Towarzysz „Wiesław” tuż przed sylwestrem wezwał do KC pierwszych sekretarzy komitetów wojewódzkich PZPR, by oświadczyć im, iż sztuka wystawiana w Teatrze Narodowym jest: „nożem wbitym w plecy przyjaźni polsko-radzieckiej”. W międzyczasie musiał stawić się w tym samym gmachu Kazimierz Dejmek. „Pod adresem przedstawienia skierowano zarzuty o jego antyrosyjskość i antyradzieckość oraz o religianctwo” – wspominał reżyser. Kiedy wysłuchał już połajanek i gróźb, zabrał się do poprawiania inscenizacji. Jednak, choć bardzo się starał, aby stała się pogodna i prorosyjska, tego, co napisał Mickiewicz, zmienić nie mógł. W zupełności wystarczało to widzom, żeby urządzać owacje w najbardziej dla reżimu nieodpowiednich momentach, co skrzętnie odnotowywali obecni na widowni konfidenci i oficerowie SB. Stale bombardowany informacjami Gomułka zdzierżył jeszcze dwa wystawione w nowym roku spektakle, po czym zażądał, aby ten ostatni odbył się już pod koniec stycznia. Nie zmieniła tego nawet wizyta w Warszawie Leonida Breżniewa. Opierając się na raportach CIA, sekretarz stanu USA Dean Rusk ocenił, iż sowiecki przywódca specjalnie odwiedził Towarzysza „Wiesława”, żeby okazać mu swe zaufanie. Mimo to Gomułka miał już dość Mickiewicza.

Tymczasem 23 stycznia 1968 r. każdy szanujący się warszawski inteligent chciał obejrzeć przedostatni spektakl „Dziadów”. „Tłum obległ Teatr Narodowy i przypuścił szturm. Powstrzymywano go jak się dało, mimo to masę ludzi wdarło się bez biletów, tak że na wszystkich piętrach aż czarno było pod ścianami. Literaci, profesorowie, urzędnicy, księża, moc szpiegów” – zanotował reżyser Zbigniew Raszewski. Już nie tylko dla reżimu najważniejsze okazywało się nie to, co działo się na scenie, lecz zachowanie widowni. Tydzień później, 30 stycznia, choć wystawianie inscenizacji zakończono w Teatrze Narodowym z wielkim hukiem, to dramat nadal nabierał tempa. Nie pomogło sprawne stłumienie przez milicję demonstracji przed pomnikiem Mickiewicza. Następnego dnia w różnych miejscach stolicy ludzie zaczęli wystawiać portrety wieszczki przepasane czarną krepą. Służba Bezpieczeństwa odnotowała też, iż na uczelniach studenci zaczęli zbierać podpisy pod petycją żądającą wznowienia „Dziadów”. Ale najniebezpieczniejsze zachowania zaobserwowano wśród pisarzy.

Spadkobiercy romantyków

Długoletni prezes Związku Literatów Polskich Jarosław Iwaszkiewicz miał znakomite wyczucie polityki. Gdy awantura wokół dramatu Mickiewicza zaczęła zataczać coraz szersze kręgi, wystarał się o zgodę na pilny wyjazd do Paryża. Zanim zniknął, złożył protest w Ministerstwie Kultury przeciwko decyzji o zdjęciu „Dziadów” ze sceny Teatru Narodowego. Tym sposobem ocalił swój autorytet, a jednocześnie nie stracił posady. Wśród pisarzy cenzurowanie wieszczki wzniesło bowiem wielki ferment. Już 1 lutego 1968 r. w warszawskiej siedzibie ZLP zaczęła krążyć petycja domagająca się zwołania nadzwyczajnego zebrania związku, poświęconego inscenizacji Dejmka. Wedle oskarżeń „Trybuny Ludu”

„Dziady”
Kazimierza Dejmka.
Na scenie
Gustaw Holoubek
i Józef Duriasz



za petycją stało trzech żydowskich twórców: Paweł Jasienica, Antoni Słonimski i Arnold Ślucki, choć wspierał ich też katolicki pisarz Andrzej Kijowski. Pod samą petycją podpisało się aż 233 członków ZLP, co mocno zaniepokoiło rządzących.

Minister kultury Lucjan Motyka wezwał do siebie na naradę najwierniejszych reżimowi literatów: Romana Bratnego, Jerzego Putramenta i Stanisława R. Dobrowolskiego. Wspólnie opracowali plan kontrakcji. Partyjni pisarze mieli na początku zebrania złożyć projekt własnej rezolucji. Wzywałaby ona władze do wznowienia wystawiania „Dziadów” w Teatrze Narodowym, lecz jednocześnie potępiała wszystkie wywrotowe działania. Misterny plan nie wypadł. Nadzwyczajne zebranie ZLP 29 lutego 1968 r. zdominowali twórcy niechętni panującym porządkom. Na dodatek nie zamierzali się skupiać jedynie na losach dramatu Mickiewicza. „Nie giną już ludzie bez sądu, ale wraca surowość i mściwość wyroków sądowych” – ostrzegał w swym przemówieniu Antoni Słonimski. „To są logiczne skutki rządzenia nie tylko bez kontroli, lecz odpowiedzialności” – wtórował mu Paweł Jasienica. Wszystkich jednak przebił Stefan Kisielewski. Felietonista „Tygodnika Powszechnego” przypomniał sprawę znienawidzonego przez Gomułkę satyryka Janusza Szpotkańskiego. Za prześmiewczą operę „Cisi i gęgacze, czyli Bal u Prezydenta” reżim wlepił mu karę trzech lat więzienia. „To jest precedens przerażający, bo opowiadanie kawałów politycznych jest w Polsce tak modne, że przypuszczam, że skoro Szpotkański otrzymał 3 lata, to tak jak tu nas jest 400 osób, to jest 1200 lat więzienia” – mówił. Swoje wystąpienie podsumował frazą o „skandalicznej dyktaturze ciemniaków w polskim życiu kulturalnym”, co Gomułka i Kliszko zaraz po otrzymaniu raportu

z MSW wzięli do siebie. Ostatecznie na walnym zebraniu, pomimo oporu partyjnych pisarzy, przyjęto rezolucję przygotowaną przez Kijowskiego. Potępiała ona zakaz wystawiania „Dziadów” i krytykowała politykę kulturalną władz. Na odwagę, by ją poprzeć, zdobyło się aż 221 członków Związku Literatów Polskich przy 124 głosach sprzeciwu.

Triumf ciemniaków

Kiedy w siedzibie ZLP toczył się jeszcze gorący spór, tuż przed północą podjechały ciężarówki wypełnione „aktywem robotniczym”. Uzbrojeni w pałki członkowie ORMO mieli się jeszcze nieraz wykażać podczas tłumienia studenckich protestów. Jednak o mały włos ich pierwszymi ofiarami padliby sławni pisarze. Tak spektakularna prowokacja mogła wzniesić niepokój w całym kraju i najprawdopodobniej stał za nią Mieczysław Moczar. Nie udało się tylko dlatego, że porozmawiać z „aktywem robotniczym” wyszedł członek KC Jerzy Putrament. „Zaczęłam przekonywać mroczną gromadę, że ich wizyta przyniesie więcej szkody niż pożytku” – wspominał. Jego liczne partyjne funkcje oraz znane nazwisko odebrały przybyłom rezon. Po namyśle zrezygnowali z wkroczenia na zebranie Związku Literatów Polskich.

O rezolucji i tak zrobiło się głośno. Wystąpienie pisarzy w obronie „Dziadów” doprowadziło środowiska studenckie do stanu wrzenia. W samo południe 8 marca zebrało się na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego kilka tysięcy młodych ludzi przybyłych z różnych uczelni. Do rezolucji, domagającej się powrotu dramatu Mickiewicza na scenę, dołączono żądanie ponownego przyjęcia na studia relegowanych cztery dni wcześniej Adama Michnika i Henryka Szlajfera. Niedługo potem młodzież zaatakował „aktyw ro-

botniczy” dowieziony pod uniwersytet autobusami. Wprawdzie po interwencji prorektora UW prof. Zygmunta Rybickiego ormowcy przestali bić studentów, ale gdy ci opuszczali teren uczelni, na Krakowskim Przedmieściu czekał już batalion ZOMO. „Studenci byli bici pałkami i kopani z niesłychaną zjadłością, najbardziej ci, co upadli na bruk. Później podstawową grupę studentów udało się wypchnąć na Krakowskie Przedmieście. Do zmasakrowanych studentów zaczęli dołączać ludzie wracający z pracy i turyści, a niepokój zaczęły się rozlewać po całym mieście” – zapisał we wspomnieniach ówczesny student Politechniki Warszawskiej Władysław Grodecki. Brutalność milicji spowodowała wybuch protestów we wszystkich miastach akademickich w Polsce. Do studentów dołączali uczniowie szkół średnich.

Reżim pacyfikował opór bardzo nieźle, bo na samych jego szczytach trwała coraz bardziej zaciekała walka o władzę. Chciał po nią sięgnąć Mieczysław Moczar, czym wzbudzał popłoch w liberalnym skrzydle PZPR. Próba sił trwała kolejne tygodnie, a jej często przypadkowe ofiary padały gęsto. Stefan Kisielewski 11 marca wybrał się odwiedzić swego przyjaciela Stanisława Stommę. W zaułku za katedrą św. Jana na Starym Mieście czekali na niego z pałkami „nieznani sprawcy”. Jak zapamiętał: „wygłosili do mnie przemówienie ideologiczne, a potem powiedzieli: A teraz, skurwysynu, za to dostaniesz”. Felietonistę bito po całym ciele, lecz uważano, żeby nie uszkodzić głowy, dzięki czemu trafił do szpitala, a nie kostnicy.

Podobny los spotkał wielu młodych opozycjonistów. Do 6 kwietnia Służba Bezpieczeństwa aresztowała 641 studentów i 487 uczniów szkół średnich. Za kraty trafiło też ponad 900 starszych uczestników protestów. Czekali ich mniej lub bardziej dotkliwe kary. W tym samym czasie trwały gwałtowne przetarasowania na wysokich stanowiskach. Posady straciło pięciu ministrów oraz 22 wiceministrów. Liczby zwolnionych dyrektorów oraz funkcjonariuszy partyjnych szły w tysiące. Najpierw moczarowcy wycinali starsze pokolenie komunistów, następnie inne frakcje PZPR usiłowały wykończyć protegowanych Moczara. Na to wszystko nałożyła się antysemitka czystka. Reaktywował ją z ochotą Gomułka, coraz mocniej wierząc, iż za całym galimatiasem stoi nie tyle Mickiewicz, ile Żydzi. Prześladowania dotknęły przede wszystkim elity. Wedle wyliczeń prof. Dariusza Stoli w ciągu roku władze zmusiły do emigracji ok. 500 wykładowców akademickich, 200 dziennikarzy, 100 muzyków, aktorów i plastyków oraz 26 filmowców. Polska traciła ludzi o ogromnym potencjale intelektualnym, lecz dla reżimu byli to przede wszystkim politycznie podejrzani semici. Przy okazji odblokowania możliwości szybkiego awansu lojalnym karierowiczom. Ostatecznie Gomułka nie stracił kontroli nad partią. W lipcu 1968 r. usunął Moczara z MSW, awansując go na nic nieznaczące stanowisko zastępcy członka Biura Politycznego. Sytuacja w PRL zdawała się spacyfikowana. Towarzysz „Wiesław” wyraził więc zgodę, żeby w pełnej tajemnicy odegrano trzy spektakle „Dziadów” dla partyjnego establishmentu. Gustaw Holoubek zapamiętał, iż przez całe przedstawienie na widowni trwała martwa cisza. Ale kiedy opadła kurtyna: „rozległy się ogromne, niekończące się brawa” – wspominał aktor. Po ostatnim z tajnych spektakli Kazimierz Dejmek został zdjęty ze stanowiska dyrektora Teatru Narodowego oraz usunięty z PZPR. Ale i to nie stało się epilogiem arcydramatu. Ten wydarzył się dopiero w grudniu 1970 r., gdy bunt robotników na Wybrzeżu, choć krwawo stłumiony, zakończył polityczną karierę Władysława Gomułki. ©